GŁOS NARODU

SYN ZDRAJCY.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Epizod z powstania 1863 roku.

W dusznym skwarze sierpniowego popołudnia posuwał się zwolna powstańczy oddział Habicha drogą od Wolbromia do Ojcowa. W oddziale tym jako prosty szeregowiec postępował hr. Aleksander Krukowiecki. Brudną pamięć oddziedziczył młody Krukowiecki po swoim ojcu. Niesforny jenerał, zawistny intrygant, w końcu wyraźny niemal zdrajca, nie dla pieniędzy może, ale przez słabość ducha, Jan Krukowiecki był przedmiotem wzgardy i potępienia u całego narodu za to, że jako wódz i naczelnik rządu poddał Warszawę w 1831 roku Moskalom wtedy, gdy na rozkazy jego czekało kilkadziesiąt tysięcy polskiego wojska, gotowego bić się z wrogiem do ostatka.

Syn jego zmazywał hańbę ojca w powstańczych szeregach. Oddział Habicha zbliżał się właśnie do Glanowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział pod dowództwem księcia Szachowskiego, liczący blisko półtora tysiąca piechoty, pięćset kawalerji i dwie sotnie kozaków.

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i licho uzbrojone. Twarz dowódzcy zasępiła się na chwilę ciężką troską i głębokim namysłem.

Nagle odwrócił się do nieruchomych, zamarłych w czekiwaniu powstańczych szeregów.

„Bracia!“ zawołał donośnie — Bracia! Potrzebuję dziesięciu ochotników. Zostaną oni w Glanowie i będą powstrzymywać Moskali, opierać się w dziesięciu całej ich sile do ostatniego tchnienia. Reszta oddziału uchodzić musi pod ochroną lasów“. Umilkł na chwilę, wodząc bystremi oczyma po twarzach wsłuchanych w jego słowa powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich niewidzialny wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

„Kto na ochotnika?“

„Ja!“ ozwało się grzmotem trzysta piersi, cały oddział rzucił się naprzód potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska!“ zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał długo nie niknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki. „Pozwól mi pójść, naczelniku!“ zwrócił się prezentując broń do Habicha.

„Dobrze! Obejmiesz dowództo nad całą dziesiątką“ zgodził się Habich.

Wybrano dziesięciu najlepszych strzelców, szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Glanowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszów.

Piętrowy murowany dwór glanowski frontem zwrócony na drogę, którą mieli przeciągnąć Moskale, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obrony dla powstańców.

Zatarasowano mocne żelazem okute drzwi, powstańcy ustawili się koło okien.

Krukowiecki, słynny w całym oddziele jako najlepszy strzelec, kazał dwom szeregowcom stanąć za sobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania.

Ostrożnie i zwolna poczęli wsuwać się przez bramy kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła, ich małe skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 24 Maja 1903 r.

Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia. Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki. „Szkoda prochu na to paskudztwo“ — szepnął pogardliwie, Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski. „Spostrzegli naszych“ — domyślili się powstańcy. Raz jeszcze obejrzeli ładownice i karabiny, zdala słychać już było głuchy łoskot zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty weszły na podwórze, spokojnym miarowym krokiem jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko.

„Pal!“ Zakomenderował półgłosem Kruchowiecki.

Huknęły strzały.

Jak piorunem raniony zwalił się z konia jadący przodem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię, przednie szeregi skłębiły się na chwilę, potem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypyważ się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu.

Napad był tak niespodziany, że w całym moskiewskim oddziale zapanował na chwilę zamęt; ozwały się krzyki komendy, oficerowie zaczęli płazować cofających się żołnierzy,

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu“ szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa, Moskale cofnęli się z podwórza unosząc rannych.

Opamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dokoła, obsypując go zdala gradem karabinowych strzałów. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturmu, ziemia zajęczała pod ciężkiemi stopami żołdaków. Z okien huknęły strzały — dziesięciu najbliższych padło trupem. Krukowiecki chwytał raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z jego ręki strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę.

Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturmu Moskali legło pokotem, inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać.

Szturm powtórzył się jeszcze raz drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do boju coraz niechętniej, coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury dworu, z okiem którego wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnem okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

Z okien dworu widać było, że większa połowa oddziału piechoty z całą kawaleryą i kozakami poszła w pogoń za Habichem.

„Zawszeć nasi uszli już kawał drogi“ — pocieszali się oblężeni, kontenci że niedarmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry, od dachu.

„Podpalili nas!“ wykrzyknął któryś; widmo straszliwych męczarni konania w zaduchu dymu, wśród żrących płomieni stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartem półkolem zbliżać się zaczęli do dworu.

Z szeregów ich wystąpił oficer powiewając białą chustką i zawołał donośnie podchodząc tuż pod okna: „Polacy! wzywam was poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy moich. Oddajcie mi tylko waszą broń, a potem car najmiłosierniejszy rozporządzi waszym losem. Powtarzam, za chwilę zginiecie!“

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się przez okno.

„Polak umiera ale nie poddaje się wrogowi nigdy“ — rzucił krótko i twardo.

W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła Krukowieckiemu kaszkiet. — „Zdrajcy!“ syknął Krukowiecki, podnosząc karabin do ramienia. Moskiewski żołnierz zachwiał się i runął, wypuszczając z rąk karabin z dymiącą jeszcze po zdradzieckim strzale lufą.

Huknęły znowu karabiny gęstą nieustającą salwą, żołdactwo nacierało coraz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne były już coraz rzadsze.

Brakło im naboi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanię za konających.

Słowa modlitwy odbijały się ponuro przy huku karabinów, wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym i spokojnym „Zmiłuj się nad nami!“

Potem ze wszystkich rozmodlonych piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski na pogrzebach śpiewa: „O, Jezu mój, o, Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!“

Na pogrzebie własnym śpiewali powstańcy — czerwone iskry poczęły już sypać się im na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten pogrzebowy śpiew zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojną, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać. Spiewał z innymi.

„Co to?“ zawołał nagle, jakby ockniony z letergu. „Moskale uciekają! Odsiecz! Zbawienie!“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród mroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki, czerwone odblaski płomieni pełzały po pobojawisku, zapalały iskry w mosiężnych guzikach mundurów, przeglądały się w karabinowych lufach. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też i odsieczy ani śladu.

Z za węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się zwolna ku powstańcom.

— Kto tam? — zapytał Krukowiecki.

— To ja, Grzymała, karbowy ozwał się głos nieśmiały.

Z pomroki wychyliła się płowa czupryna chłopa, odblaski ognia zapaliły w jego szarych oczach płomyki chytrej radości.

— Nie wiecie, dlaczego uciekli Moskale? — zagadnął Krukowiecki.

— A ze strachu — odrzekł Grzymała.

— Dobrze ale przed kim? Gdzież powstańcy?

— Nie było tu nijakich powstanców — uśmiechnął się Grzela — ja tak ino zwiodłem Rusków. Patrzę, że te juchy usadziły się na panów, a tu dwór cały w ogniu, — myślę ja sobie — poczekajta! Tak lecę do starszego i gadam: „Jaśnie wielmożny panie generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali“.

„No a gdzież Polacy? przerwał Krukowiecki rozglądając się dokoła.

„A od lasu rychtyg wielga siła wali“ kończył Grzymałą „tylko że nie powstańców jeno owiec i bydła a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało“.

Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na podwórzu rozległo.

Zapomnieli już, że przed chwilą dysponowali się na śmierć, śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopa i tchórzliwych Moskali.

— Ale tęgo ich panowie nakrószyli, dziwił się Grzymała obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy było ich sześćdziesiąt i kilka, połowa blisko legła przed oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

Syn zdrajcy zapłacił za hańbę swego ojca.

P. K.

MARYA LESZCZYŃSKA.

Tłum niewiast. co błyszczały i błyszczą koroną,
Pochłonęły w niepamięć wieki, i pochłoną;
Te będą celem wiecznej wdzięczności i chwały,
Które cnotami swemi zajaśnieć umiały.
Feliński.

Piękną jest cnota, choć ukryta i sobą tylko ozdobna, lecz jako drogi kamień, co acz sam przez się jaśnieje, w bogatej i kształtnej oprawie wolnego nabiera blasku, tak wydatniejszemi stają się piękne zalety osoby, wyniesione nad inne, aby jako pochodnia blaskiem swoim przyświecała i zachęcała do naśladowania Życie Maryi Leszczyńskiej należy więcej do francuskiej niż naszej historyi; chlubnie jest jednakowoż wspomnieć, iż córka jednego z obywateli polskich, któremu naród po dwa kroć oddawał koronę, i który jak na jego nieszczęście był przymuszony wrócić ją przemocy, dzieliła tron z monarchą potężnego narodu, powołana nań, nie z innych przyczyn, jak dla znanych światu cnót i szlachetności serca.

Marya Leszczyńska urodziła się w W. Ks. Poznańskiem w Baszkowie, wsi dziedzicznej ojca swojego, 23 czerwca 1703 r., ze Stanisława Leszczyńskiego, króla i Katarzyny Opalińskiej. Dziecinne lata przepędziła wśród niebezpieczeństw i trwogi, które z ojcem, miotanym od zawziętego losu dzieliła. Kiedy Stanisław porzucił rodzinną ziemię, aby w obcych krajach szukać schronienia, towarzyszyła mu na wygnaniu jego cała rodzina. Dopóki Karol XII. miał nadzieję przywiedzenia zamysłów swoich do skutku, wyznaczył Leszczyńskiemu na mieszkanie Księstwo Dwóch mostów z dość znacznemi dochodami; lecz gdy zawiedziony w swych nadziejach, przy szturmie Friedrichshall w Norwegii, poległ bohatera śmiercią, przeniósł się Stanisław do Francyi, i osiadł za pozwoleniem rządu w Weissenburgu, w Alzacyi. Traktat Szwecyi z Polską, zapewnił mu wkrótce tytuł króla, zwrócenie dóbr dziedzicznych, uczciwe choć mierne dochody, i zupełne dla wszystkich stronników jego przebaczenie.

Król Stanisław Leszczyński jako czuły ojciec, pielęgnował troskliwie córkę Maryę, gdy zimna mogiła pokryła starsze jego dziecię, a poczciwa małżonka i Moszczeńska, mistrzyni młodej królewnej, dopomagały mu gorliwie w uskutecznieniu jego zamiarów. Zapatrując się ciągle na piękne rodziców przykłady, wcześnie już pokochała Marya Boga i cnotę, a miłość ta kierowała wszystkiemi jej sprawami. Na tej zasadzie rozwijając władze swe umysłowe, pociechą była dla rodziców, osładzała im chwile gorżkie wygnania, a wszyscy, co ją znali uwielbiali jej piękne zalety, i dziwili się postępom w naukach.

Gdy oddalona od wielkiego świata, jako pączek róży w ukryciu rozwijała się, zwrócił na nią uwagę swoją Ludwik XV. król francuski i wyprawiwszy powiernika swego, kardynała de Rohan biskupa Strasburskiego, prosił Stanisława o rękę córki. Niechciał wierzyć Leszczyński słowom kardynała, aż przekonał się z wręczonego sobie listu, od rządzcy państwa księcia de Bourbon, a naradziwszy się z małżonką i uległą zawsze córką zezwolił na żądanie króla. W sześć miesięcy potem, wyprawił Ludwik XV. do Stanisława uroczyste poselstwo, na czele którego był książę d'Antin, prosząc publicznie o rękę Maryi.

Nie mało zadziwiło to dwory Europy. gdy gruchnęła wszędzie wieść, iż król francuski wzgardziwszy ręką infantki hiszpańskiej, zaślubia królewnę polską, bez bogactw i nie słynącą pięknością; lecz ktokolwiek ją znał bliżej, przyznać musiał, iż szlachetne jej przymioty, znane w całej

Alzacyi, światło i dobroczynność, godną ją czyniły tronu.

Czternastego sierpnia 1725 r. nastąpił ślub, przy którym Ludwika XV. zastępował książę Orleanu. Po odebranem błogosławieństwie rodziców, wyjechała Marya do stolicy; wszędzie przyjmowano ją z największemi oklaskami, wszędzie też ujmowała łagodnością swoją serca otaczających ją osób. W Fontaineblau odbyło się wesele, z zwykłym owym czasom przepychem; ujrzała się Marya na



Z polskiej wystawy fotograficznej we Lwowie.
FOTOGRAFIA REGINY MIKOLASCHÓWNEJ: „OGNISKO".

dworze wielkim, najwykwintniejszym, otoczona ludźmi nieznanymi, którym, podług przestróg ojca, nie zawsze ufać miała; wzywała przeto pomocy nieba, aby wypełniała przyjęte na siebie trudne obowiązki, i zasięgała co do postępowania swego, rady doświadczonego przyjaciela, jakiego miała zawsze w ojcu. Na jej żądanie skreślił Stanisław rady swe, i przesłał je Maryi: czytała je często królowa, stosowała się do nich w całem swem postępowaniu, a od czasu wstąpienia na tron francuski, do ostatniej chwili życia, wzorem była cnót najwyższych, tak, iż Francuzi od początku dobrą królową ją nazywali. W każdem jej poruszeniu była godność bez nadętości i dumy; udzielając się drugim, nigdy nie poważała siebie, i zdając się mało wymagać uszanowania, otrzymywała wszędzie jak największe. Była Marya małżonką wzorową, matką tkliwą i pilną, zatrudnioną wychowaniem swych dzieci, w które wpajała prawdziwą pobożność, królową pobłażającą, mądrą i dobroczynną, nieprzyjaciółką intrygi i opiekunką uczonych ludzi, słowem, stała się na tronie przykładem cnót chrześcijańskich. Przybywającym do Francyi Polakom, nie tylko łatwy przystęp, ale w każdem zdarzeniu pomoc i wsparcie dawała. Gdziekolwiek się ukazała, cisnął się do niej lud, aby oglądać dobrą swoją królowę; potrzebującym pomocy nigdy nie odmawiała; i gdy razu jednego spowiednik i jałmużnik jej ks. Trąbczyński wystawiał, iż dochody nie wystarczą na takie wydatki, ona mu odpowiedziała: „cały majątek matki, niejestże dziatek własnością?" — Do spraw politycznych w kraju, nie mieszała się, kochając nauki, całe poświęcała staranie, aby utrzymać ten ogień, którym tlał najświetniejszy dla literatury francuskiej wiek VIV. Z boleścią serca patrzała Marya na szerzącą się bezbożność i zepsucie obyczajów; dwór zdawał się hasło do nich dawać, a wiele pisarzy rozsiewało w dziełach swoich szkodliwe maxymy i zdania. Nie mogąc temu zaradzić, czyniła co mogła, żeby im do siebie i do swoich dostępu niedozwolić. Podobało się Opatrzności dotknąć ją niejednem nieszczęściem: musiała bowiem patrzeć, jak własny jej małżonek słaby i uwiedziony namowami zauszników i pochlebców, puścił się na występki i rozpustę. Zniosła cios ten Marya z cierpliwością godną prawdziwej chrześcijanki, i wznosiła modły do Boga, szukała ulgi strapionemu sercu na łonie ojca, który po stracie żony i matki, do ostatniej chwili, trzy razy co tydzień do Maryi pisywał, a w pięknej porze po kika tygodni przy niej bawił. Umiała także Marya słodzić sobie smutne chwile zatrudnieniem godnem siebie; z młodu albowiem przywykła nie trawić czasu na próżno; sztuce malarskiej, muzyce, czytaniu pożytecznych dzieł, robotom damskim codziennie nieco czasu poświęcając. Kościoły stolicy Francyi przechowują dotąd rąk jej prace: różę z muszelek morskich, przez siebie zrobioną, przesłała także Lyceum Poznańskiemu z napisem własnoręcznym: dla Lyceum Poznańskiego i przeznaczeniem sumy 6.000 czerwonych złotych na wystawienie gmachu szkolnego; lecz chciały nieprzyjazne losy, aby upominkiem tym cnotliwej królowej nie cieszył się Poznań; suma atoli nie została wypłaconą, a róża znikła w roku 1815 z Muzeum fizycznego, gdzie przechowywaną była.

Największą pociechę znajdowała królowa w dzieciach. Siedmioro z nich, sześć córek i syn wychowało się pomyślnie: cztery córki zostały oddane do klasztoru, dwie z synem kształciły się pod okiem matki, odpowiadając godnie jej staraniom i miłości. Doszedł królewicz lat młodzieńca i zaślubił sobie Maryę Józefę, córkę Augusta III., króla polskiego; cieszyła się Marya z połączenia tego; na łonie wnuków spodziewała się w podeszłym wieku używać słodyczy, gdy śmierć ukochanego syna i ojca, czułe matki i córki zakrwawiła serce. Od chwili tej widocznie słabnąć zaczęła i rozstała się z tym światem 24 czerwca 1768 r., w 65 r. życia. Opłakiwała Francya zgon wczesny Maryi, a lud dla znanej pobożności życia, świętą ją nazwał.

Nie była Marya piękną, niskiego wzrostu, rysów nieregularnych, miała jednak wiele powabów;

albowiem szlachetna jej dusza malowała się w spojrzeniu, a nadobny uśmiech, dowcip i słodycz charakteru nadawały jej powabu. Wśród zepsutego dworu Francyi, zachowała czystość obyczajów, pobożność odznaczającą rodaczki swoje i moc w nieszczęściu. Szacował naród jej cnoty i podziwiał je, lubił towarzyskie przymioty, które pociągały ku niej tę, powszednią życzliwość, jakiej nikt ani lepiej wzbudzać, ani z niej sowiciej się wypłacać nie umiał, jak Marya Leszczyńska. ⁂

Polska Wystawa Fotograficzna

we Lwowie 1903.

Polska wystawa fotograficzna urządzona staraniem Klubu fotografów-amatorów we Lwowie, otwartą została dnia 16 maja i potrwa do 15 czerwca b. r., poczem na mocy porozumienia się tego Klubu z Komitetem Słowiańskiej wystawy fotograficznej w Wieliczce „en bloc“ przewiezioną zostanie do Wieliczki.

W polskiej wystawie fotograficznej we Lwowie, wzięło udział 37 wystawców, z tego 15 poza konkursem. Ogółem nadesłano 413 fotografij, z których wyszczególnione zostały fotografie p. Reginy Mikolasch ze Lwowa, Joachima Traczyka ze Lwowa i Karola Piskorza ze Stanisławowa dyplomem honorowym, zaś fotografie p. Rudolfa Hubera ze Lwowa, Kazimierza Brokla ze Lwowa, Witolda Łozińskiego z Wiednia, Stanisława Jaroszyńskiego ze Lwowa, Artura Feldmanna ze Lwowa i Dra Norberta Liliena ze Lwowa wyróżnione zostały listami pochwalnemi.

Z pomiędzy fotografij p. Reginy Mikolasch wykończonych z całym artyzmem szczególniejszą uwagę ogółu zwracała fotografia pod tytułem: „Ognisko“, którą reprodukujemy — i fotografia pod tytułem: „Hucułki“. Pierwsza wykonaną jest na gumie (gumidruk), druga na papierze bromosrebrnym. Wreszcie nie wspominając już o fotografiach p. Mikolaschowej odznaczonych dyplomem honorowym, które przedstawiają się wspaniale i które całkiem słusznie wyróżnione zostały pierwszem odznaczeniem, wzbudziły szersze zainteresowanie fotografie pod tytułem: „Gaj brzozowy“ — „Topielisko“ — „Woda“ — i „Krajobraz“, wszystkie wykonane na papierze bromosrebrnym i fotografia wystawiona pod tytułem: „Gęsi“ wykończona na papierze gumowym. Tak samo wzbudziły zainteresowanie fotografie p. Joachima Traczyka i p. Karola Piskorza, wszystkie wykończone na gumie. Z prac p. Piskorza prócz fotografii wyróżnionej dyplomem honorowym: „Lato nad Bałtykiem“ podobała się ogólnie zwiedzającym fotografia: „Szczęście macierzyńskie“ i „Nad potokiem“.

Z fotografij p. Rudolfa Hubera, który jest specyalistą w zdjęciach portretowych wyróżniały się fotografie: „Portret panny Jadzi R.“ — “Portret panny Janiny R.“ — i „Portret Pana Tadeusza D.“.

Również zasługują na uwagę fotografie artystyczne p. Brokla („W oczerecie“ — „Bronowa-



Z polskiej wystawy fotograficznej we Lwowie.
Fotografia HENRYKA MIKOLASCHA, Lwów: „JAPONKA“, odznaczona złotym medalem na wystawie w Londynie 1900.

nie“— „Po grudzie“), p. Łozińskiego i p. Jaroszyńskiego („Jesień“ — „W dzień letni“ — „W zimie“ — „Mrok“ — „Polna droga“ — „W burzliwy zachód“ — i „U źródła“.

Fotografie p. Artura Feldmanna „Zmierzch“ — „Droga piaszczysta“ i fotografia p. Dra Liliena: „Pod szynkiem“ i „Drzewo“ są również artystycznie wykonane i gustowne.

Pomiędzy fotografiami wystawionemi poza konkursem zwracają na siebie ogólną uwagę w pierwszym rzędzie fotografie pp. Henryka Mikolascha i Ludwika Davida, wreszcie pp. Świtkowskiego, Kulikowskiego (z Królestwa), Kulczyckiego, Włoszyńskiego, Łęczyńskiego i Dra Szymanowicza.

Fotografie p. Henryka Mikolascha już kilka razy wyróżnione zostały na światowych wystawach a między innemi odznaczona została złotym medalem fotografia p. Mikolascha pod tytułem: „Japonka“, którą w dzisiejszym numerze reprodukujem; a to na wystawie w Londynie w 1900 r. Oryginał tej fotografii odstąpił p. H. Mikolasch angielskiej firmie: Eastman Kodak-Company New-York. Pomiędzy fotografiami p. Mikolascha znajdującemi się na teraźniujszej polskiej wystawie zwracają uwagę ogółu na siebie z pełnym artyzmem wykonane fotografie bromowe, pod tytułem: „Akt — studyum“ — jedna „Studyum oświetlenia“ i fotografia (na pigmencie): „Studyum do portretu“. Wielkiej wartości są również fotografie p. Mikolascha wystawione pod tytułem: „Ewunia“, wroszcie „Portret pani K.“ — „Portret pani M.“ i „Róże“.

W wystawie tej fotografowie-amatorowie z Krakowa udziału niebrali wcale a usprawiedliwić to należy chyba tem, że wkrótce otwartą zostanie wystawa fotograficzna w Wieliczce, do której się przygotowują.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Hotel Babilon urządzony też został odpowiednio: trzymano się w nim przepisów, zalecających głównie dyskrecję, spokój, ciszę, trzymanie się zdaleka od gości. Był to więc jakby pałac „incognito“. Nie zawieszono żadnych złoconych szyldów na dachu, żadnego nawet objaśniającego napisu u wejścia. Idąc małą uliczką od strony Strandu, ujrzałeś prosty, ciemny budynek przed sobą z dwoma mahoniowemi furtkami i główną bramą obok; drzwi otwierały się cicho, bez najlżejszego szelestu, wchodziłeś do środka i byłeś już u „Feliksa“. Jeśli zamierzałeś stanąć tu gościną, ty albo kamerdyner oddawał twój bilet wizytowy pannie Spencer. Pod żadnym względem nie należało pytać o cenę numerów, nie było przyjęte mówić o tem w hotelu Babilon; ceny nakładano ogromne, ale nie czyniło się o nich wzmianki. Z końcem twego pobytu podawano ci rachunek krótki, nie zapuszczający się w szczegóły; płaciłeś, nie oponując ani jednem słowem. Traktowano cię ciągle z równą uprzejmością, nie zapraszano, abyś tu stanął, nie nalegano, iżbyś powrócił. Hotel Babilon nie używał tak pospolitych środków przynęty unikał współzawodnictwa, nie zwracając na nie uwagi i był wskutek tego ciągle pełny w czasie sezonu.

Jedno tylko drażniło właściciela i służbę hotelu, to jest, gdy zakład ich porównywano, lub brano przez pomyłkę za hotel amerykański. Zarządzający Babilonem byli stanowczo przeciwni amerykańskim metodom jedzenia, mieszkania, a przedewszystkiem amerykańskiej metodzie używania trunków. To tłómaczy niezadowolenie Juliana, gdy pan Teodor Racksole zażądał od niego anielskiego całuska.

— Czy towarzyszy kto panu Teodorowi Racksole? — pytał Julian w dalszym ciągu panny Spencer, kładąc sarkastyczny nacisk na każdą sylabę nazwiska gościa.

— Panna Racksole; zajmuje numer 111.

Julian zamilkł krótką chwilę, wykładając faworyty na lśniącej białości kołnierz koszuli.

— Ona tam stoi? — dowiadywał się z rodzajem zdumienia.

— Trudno było postąpić inaczej — tłómaczyła, jakby usprawiedliwiając się panna Spencer. — Nie mieliśmy na piętrze innego wolnego pokoju z łazienką i ubieralnią.

— Dlaczego nie powiedziałaś pani tak ojcu, jak córce, że nie możemy zadość uczynić ich żądaniu?

— Nie mogłam tego uczynić, ponieważ słyszał nas Babs.

Troje tylko ludzi na całym świecie ośmielało się dawać panu Feliksowi Babilon żartobliwe skrócenie Babs'a, tych troje było: Julian, panna Spencer i Rocco. Przezwisko wymyślił Julian, a nikt inny nie odważyłby się na podobną zuchwałość.

— Urządź tak pani, iżby panna Racksole zmieniła numer dziś wieczór; możesz zresztą spuścić się na mnie w tym względzie — dodał starszy kelner po chwili namysłu. — Ja temu zaradzę. „Au revoir!“ Brak trzy minuty do ósmej, muszę dozorować w sali jadalnej podczas obiadu.

To rzekłszy, odszedł, zacierając białe ręce; był to ruch świadczący o niezwykłem u niego podnieceniu.

Punkt o ósmej podano obiad w ogromnej, białej stiukowej sali ze złoconemi lamperyami. Przy małym stoliku pod oknem siedziała samotna młoda dama. Suknia jej miała na sobie stempel krawca z Paryża, ale twarz zdradzała pochodzenie z New-Yorku. Było to powabne oblicze kobiety, nawykłej czynić zawsze co chce, jak chce i kiedy chce, robiącej sobie igraszkę z całych setek złotej młodzieży, wprzęganej kolejno do jej rydwanu, a wskutek nadmiernych pieszczot rodzicielskich poczytującej się za wszechwładną panią tego świata. Podobne kobiety rodzą się jedynie w Ameryce, ale dochodzą zupełnego rozwoju dopiero w Europie, stworzonej przez Opatrzność, w mniemaniu tych dam, dla ich rozrywki wyłącznie.

Młoda dziewczyna przy oknie spoglądała z niezadowoleniem na leżący przed nią jadłospis. Następnie obejrzała się po sali jadalnej i lubo podobali jej się siedzący przy stołach biesiadnicy, znalazła, że sala mała i brzydka. Wyglądała potem przez otwarte okno; przyznawała w myśli, iż Tamiza przy świetle latarni ładny sprawia widok, nie może się jednak równać do rzeki Hudson, na której wybrzeżach ojciec jej posiadał wspaniały dom, zbudowany kosztem stu tysięcy dolarów. Wreszcie rzuciła znowu okiem na jadłospis, krzywiąc ładne usteczka, jakby chciała powiedzieć, że nie znajduje w nim nic odpowiedniego dla delikatnego swego podniebienia.

— Przepraszam za opóźnienie, Nello — odezwał się głos pana Racksole, nieustraszonego milionera, który zażądał całuska anielskiego w salonie hotelu Babilon.

Nella — miała imię Helena — uśmiechnęła się do ojca i pogroziła palcem, korzystając z prawa strofowania go za narażenie jej na zbyt długie czekanie.

— Spóźniasz się zawsze — rzekła.

— Tylko w dni świąteczne — odparł. — Co mamy do jedzenia?

— Nic zgoła.

— Niech dadzą cokolwiek; jestem głodny. Nigdy tak głodu nie odczuwam, jak kiedy czas przepędzam bezczynnie.

— „Consommé Britania“ — czytała z jadłospisu — „Saumon d'Ecosse“, „Sauce Génoise“, „Aspics de Homard“. Wielkie nieba! któż jeść może podobne szkaradzieństwa w pogodny, jak dziś wieczór?

— Ależ Nello! — protestował — to najwykwintniejsza kuchnia w Europie.

— Słuchaj, ojcze — odezwała się trochę lekceważącym tonem — czyś zapomniał, że jutro rocznica moich urodzin?

— Alboż kiedykolwiek zapomniałem o tak wielkiej uroczystości, droga córko?

— Biorąc na ogół, byłeś dotychczas dosyć zadawalniającym papą — rzekła z przymileniem. — W nagrodę zażądam od ciebie najskromniejszego podarku, jaki ofiarowałeś mi kiedykolwiek w dniu urodzin. Muszę tylko otrzymać go dzisiaj.

— Dobrze — odparł z gotowością sprawiania zepsutemu dziecku niespodzianek, a cierpliwością ojca zawojowanego przez córkę. — Cóż takiego?

— Oto każ dać befsztyk i butelkę piwa na dzisiejszy obiad. Pożywienie proste, doskonałe; takie chcę mieć właśnie.

— Ależ moja droga, befsztyk i piwo u Feliksa, to niemożliwe! Przytem piwo niezdrowy trunek dla młodych panien przed dwudziestym trzecim rokiem.

— Powiedziałam, że chcę befsztyku i piwa; co do lat, jutro zaczynam dwudziesty czwarty rok życia — oświadczyła panna Racksole, zaciskając z uporem białe ząbki.

Ktoś chrząknął. Juljan stał obok, rozmyślnie zapewne obrawszy ten stolik do obsługi. Zwykle starszy kelner nie służył do stołu, z daleka tylko obserwował wszystko, niby rotmistrz, pilnujący swego szwadronu. Stali goście hotelowi poczytywali za zaszczyt, gdy on sam podawał im półmiski.

Teodor Racksole namyślał się chwilę, potem z miną najzupełniej obojętną wydał rozkaz:

— Dwie porcye befsztyku i butelka piwa!

Był to akt największej odwagi ze strony miljonera, aczkolwiek nieraz dowiódł w życiu, że nie zbywa mu na męstwie.

— Befsztyk nie stoi w jadłospisie — odpowiedział Juljan z zupełnym spokojem.

— Nic to nie znaczy; przynieś, co zażądane.

— Bardzo dobrze, panie.

Kelner udał, że wychodzi do kuchni i powrócił natychmiast.

— Pan Rocco kłania się panu i kazał powiedzieć, że bardzo żałuje, iż nie może dziś służyć befsztykiem i piwem.

— Pan Rocco?

— Tak, pan Rocco — przytwierdził kelner stanowczo.

— A kto jest pan Rocco?

— Pan Rocco jest naszym szefem, proszę pana.

Juljan tłómaczył to z wyrazem człowieka, od którego zażądanoby objaśnień, kto był Shakesperae.

Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie oko w oko. Zdawało się niepodobnem, aby Teodorowi Racksole, który posiadał na własność tysiące mil kolei żelaznej, kilka miast, rozporządzał sześćdziesięciu głosami na kongresie, śmiał stawiać czoło prosty kelner, a choćby nawet zarząd hotelu. Tak było jednak. Gdy zużyta Europa stanie oporem, nie przełamie tego oporu choćby cały pułk miljonerów amerykańskich. Juljan miał wyraz spokojny

człowieka, pewnego zwycięstwa. Twarz jego zdawała się mówić:

— Pobiłeś mnie za pierwszym razem; nie zdołasz tego uczynić raz drugi, mój panie z New-Yorku.

Co do Nelli, a znając ojca, przewidywała ciekawe zajście i czekała niezachwianie na swój befsztyk. Nie była głodną; mogła zdobyć się na cierpliwość.

— Przepraszam, moja droga, ale muszę odejść na chwilę — rzekł Teodor Racksole. — Nie zabawię dłużej nad parę sekund — i wyszedł z sali jadalnej.

Nikt w pokoju nie zauważył miljonera, nieznany był w Londynie; odwiedzał bowiem raz pierwszy Europę po latach dwudziestu. Ten jednak, któryby w owej chwili dostrzegł wyraz jego twarzy, gotówby zadrżeć przed wybuchem, mogącym strącić hotel Babilon w głębie Tamizy. Starszy kelner uznał bezpieczniej cofnąć się w kąt; rzucił pierwszy pocisk, teraz kolej na przeciwnika. Z długiego doświadczenia Juljan wiedział, że gość w wojnie z kelnerem zawsze przegrywa sprawę.

II.

W jaki sposób pan Racksole otrzymał żądany obiad.

Są wszelako ludzie, nawykli przeprowadzać wolę swoją bezwzględnie, nawet jako goście hotelowi; Teodor Racksole nabrał tego zwyczaju oddawna, za wyjątkiem kiedy miał do czynienia ze swoją jedynaczką Heleną, sierotą bez matki, dziewczyną sprytną, wobec której Teodor kapitulował najczęściej. Gdy jednak Racksole i jego córka byli jednego zdania, wówczas Nella starała się pomagać w usuwaniu przeszkód, stojących im na drodze. Juljan jakkolwiek bystry i spostrzegawczy, nie zauważył wysuniętej naprzód brody tak u ojca, jak u córki, inaczej byłby głębiej zastanowił się nad kwestją żądanego befsztyku i piwa.

Teodor Racksole wszedł przez sień do przybytku panny Spencer.

— Chciałbym pomówić z panem Babilonem — rzekł, przystępując odrazu do rzeczy.

— Obawiam się... — odparła panna Spencer, podnosząc głowę i zaczynając od zwykłej swojej formułki. Uważała za obowiązek nie dopuszczać gości do właściciela hotelu.

— No, no! — zawołał Racksole żywo — ja nie potrzebuję mieć obaw żadnych. Chodzi o ważny interes. Gdybyś pani była zwykłym urzędnikiem hotelowym, zacząłbym od wsunięcia ci kilku sztuk złota do ręki. Skoro jednak łapówek zapewne nie przyjmujesz, powiem krótko: muszę widzieć się zaraz z panem Babilonem w interesie nie cierpiącym zwłoki. Nazywam się Racksole... Teodor Racksole.

— Z New-Yorku? — zapytał głos we drzwiach z lekkim akcentem cudzoziemskim.

Miljoner odwrócił się i ujrzał nizkiego, na Francuza wyglądającego człowieka, z siwą brodą, w długim, starannie do figury dopasowanym surducie, z binoklami wiszącemi na srebrnym, delikatnej roboty łańcuszku, z niebieskiemi oczyma, i wyrazem dziewiczej w nich niewinności.

— Pan życzy sobie widzieć się ze mną? — zagadnął przybyły.

— Czy mówię z panem Feliksem Babilon?

Gospodarz skinął głową.

— Z nikim innym nie pragnę goręcej widzieć się w tej chwili — oświadczył Racksole. — Żądam tylko pięciu minut rozmowy. W tym krótkim przeciągu czasu zdołamy porozumieć się, mam nadzieję.

Pan Babilon bocznym korytarzem poprowadził gościa do swego pokoju, umeblowanego z przepychem w stylu Ludwika XV; zarówno jak wielu starych kawalerów, miał upodobania kosztowne.

Dwaj panowie zasiedli naprzeciw jeden drugiego. Jak zwykle, tak i tym razem, poszczęściło się panu Racksole; pan Babilon nie przyjmował nigdy u siebie gości, choćby najznakomitszych, najbogatszych i najbardziej obstających przy tem żądaniu. Gdyby gospodarz nie był przypadkiem wszedł do pokoju panny Spencer i nie zaintrygowało go postępowanie oraz fizyognomia pana Racksole, energia i przedsiębiorczość Amerykanina pozostałyby bezowocne.

— Czytałem w dziennikach newyorskich—rzekł pewny siebie milioner — że przed kilku miesiącami Towarzystwo akcyjne traktowało z panem o kupno hotelu; zdaje się, że to kupno nie doszło do skutku.

— Tak jest — odparł Babilon. — Powodem rozbicia układów było, że panowie akcyonarjusze zbyt dobry chcieli na mnie zrobić interes, a ja na to przystać nie chciałem.

— Czy mogę zapytać jaką stawiałeś pan cenę?

— Jesteś pan kupcem, panie Racksole?

— A pan trwasz w chęci sprzedaży panie Babilon?

— Zależy to od warunków — oświadczył gospodarz. — Cenę za hotel oznaczyłem na czterykroć sto tysięcy funtów szterlingów, łącznie z kosztami rejentalnymi i porękawicznem. Zastrzegam jednak, że nabywcy nie wolno odprzedawać zakładu Towarzystwu akcyjnemu, choćby za wyższą cenę.

— O jedno tylko zapytam, panie Babilon — odezwał się Amerykanin, — W ciągu ostatnich czterech lat jaki miałeś dochód przeciętny?

— Trzydzieści cztery tysięcy funtów szterlingów rocznie.

— Kupuję — rzekł, śmiejąc się z zadowoleniem Racksole. — Żądam tylko iżbyśmy przedwstępną umowę, spisaną na dwie ręce, wymienili bezzwłocznie.

— Prędki jesteś pan w decyzyi, panie Racksole. Przemyśliwałeś pewnie o tem kupnie oddawna?

— Przeciwnie — odparł milioner, spoglądając na zegarek — myśl tę powziąłem dopiero przed sześciu minutami.

(C. d. n.).

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.